



WOJCIECH KOZIELSKI

WELTSCHMERZ

HARDCORE



WYDAW
NICTWO

WYDAWNICTWOJ / WROCŁAW 2020

Widywałem ją już wcześniej: czasami w sklepie, czasami na koncertach, czasami spacerującą po modnych rejonach miasta w towarzystwie równie szykownych koleżanek. A już zupełnie dobrze mogłem przyjrzeć się jej kilka tygodni temu w Stockwell. Czekałem przed pubem na kumpla, a ona stała niedaleko i paliła. Nie mogłem przestać się na nią gapić: była cała w czerni i czerwieni, cudownie rozłożonych od stóp do głowy. Tę wieńczyły pięknie ostrzyżone na pazia kruczoczarne włosy, z grzywką rozsypującą się perfekcyjnym łukiem nad równie czarnymi ślipiami. Z czernią czubka głowy kontrastowała czerwień ust, apaszki omotanej wokół szyi i pończoch, a drobne i kształtne ciało wbite było w klasyczną małą czarną. Wszystko razem nie pozwalało mojej biednej głowie wygrać z jej magnetyzmem i wgapiałem się ukradkiem w jej zjawiskowość. Nie domyślałem się wtedy, że jest Francuzką, bo niby skąd Francuzka mogłaby się znaleźć w tak podłej okolicy południowego Londynu? W podrzędnym pubie na koncercie lokalnych zespołów hardcore punk, z których tak naprawdę tylko jeden nadawał się do słuchania?

Wczoraj zobaczyłem ją znowu w identycznej sytuacji: stała przed pubem i paliła. Tym razem w Boston Arms, na północ od rzeki. Prezentowała się w wersji skinhead z lat 60. – cała w dżinsie, polo freda perry'ego i wypucowanych na błysk martensach. Też paliłem papierosa i tak jak wcześniej, mocno starałem się na nią nie patrzeć, ale wzrok nie słuchał wcale głosu rozsądku i co chwila uciekał, by choć przez sekundę sycić się tym wcielonym pięknem. I pewnie zagapiłbym się na śmierć bądź też został przywołany do porządku jakimś zdecydowanym gestem z jej strony, gdyby nie Stevie i Sheena. To moi przyjaciele, którzy znają każdego, kogo wypada znać w tym mieście. Właśnie za ich pośrednictwem dane było mi dotknąć absolutu, kiedy przedstawiono mi ją i kurtuazyjne potrząsnąłem jej prawicą. Później, już w środku, stanąłem obok niej i jakoś nie wdychałem jak zawsze do Nurse Julie, zjawiskowej basistki Billy'ego Childisha i Muzyków Imperium Brytyjskiego. Tym razem wdychałem do mojej nowej znajomej i robiłem to wyłącznie z pobudek estetycznych, bo nawet przez myśl mi nie przeszło, że może istnieć inny finał niż niezobowiązujące „see you soon” i rozejście się w przeciwnych kierunkach.

Sprawy potoczyły się jednak zupełnie inaczej, a to przez wyjątkowo biegłego w swoim rzemiośle didżeja. Przejął kontrolę nad salą tuż po zejściu ze sceny Billy'ego i jego muzyków i zaczął od *Witch Sonicsów* – kawałka może aż nazbyt ewidentnego, jednakowoż potrafiącego skutecznie jak mało który rozruszać lekko już pijaną i trochę leciwą publiczność. Zresztą nie tylko tę, bo dużo młodsza Zośka jako pierwsza ruszyła na parkiet. W tańcu każdy drobny detal pracował na siebie i na olśniewający wizerunek całości. Pięknie przycięta grzywka falowała od prawej do lewej brwi, dłonie unosiły się wysoko do góry, łokcie przesuwwały się rytmicznie jak u doskonale wytrenowanej sprinterki, a okazjonalne klaśnięcia zawsze precyzyjnie trafiały w punkt.

Olśniony pięknem jej ruchów próbowałem towarzyszyć jej w tańcu, płasząc obok z gracją tańczącego na rozżarzonej blasze niedźwiedzia. Z głośników leciało to, co klasyczne i doskonałe – 13th Floor Elevators, The Seeds, Electric Prunes – i jakoś nie mogliśmy wyhamować. A kiedy jako kolejny utwór didżej zapodał *Et moi, et moi, et moi* Jacques'a Dutronca, Zośka oszalała w tańcu, dziwiąc się, że tutaj, w podrzędnym północnolondyńskim pubie, tańczy do kawałka, który – jak powiedziała – odmienił jej życie. Ja zaś, nie wierząc, że ten wyjątkowy utwór chce tańczyć właśnie ze mną, wykonałem jakiś paralityczny dens z butelką newky brown w dłoni. Ku uciesze jej, Steviego, Sheeny, wszystkich dookoła i przede wszystkim własnej.

I tak właśnie, zupełnym przypadkiem, zostałem królem parkietu. Do czasu, bo o pierwszej w nocy menedżer pubu po prostu włączył światło. Ot tak, normalnie, pstryk i koniec. Wszyscy jak na komendę dopili resztki ze swoich szklanek i karnie wyszli na zewnątrz. Tam paląca mniejszość zapaliła ostatniego papierosa, ludzie pogadali jeszcze trochę i zaczęli rozjeżdżać się w różne strony miasta. Byłem pewien, że jak zawsze wsiądę do autobusu, który zawiezie mnie do mojego malutkiego pokoiku w Shadwell, i tam najpierw włączę sobie jakąś płytę, a potem pójdę spać, ciesząc się z tego, że zniecka trafił mi się tak miły wieczór. Na przystanku okazało się, że Zośka i ja jedziemy w tym samym kierunku. Czekaliśmy na ten sam autobus, który miał ją zabrać tam, gdzie *cool* i *chic*, i gdzie nie było mnie stać na wynajęcie pokoju. Ja jechałem trochę dalej, tam, gdzie zupełnie niemodnie i trochę strasznie. No i wsiedliśmy razem do

nocnego numer 214, brzęczącego pijackim bełkotem we wszystkich językach świata, i nawet jakimś cudem udało nam się znaleźć wolne miejsca i usiąść obok siebie.

I jakkolwiek banalnie to zabrzmiałoby, to w tym zaświnionym autobusie, w oparach alkoholowych oddechów współpasażerów, zobaczyłem lepszy świat. Zobaczyłem go w czarnych ślipiach Zośki, a przepustką do niego były jej pięknie umalowane usta. Nagle przestałem opowiadać kolejną dykteryjkę i spojrzawszy w jej oczy, zwyczajnie zamarłem. Zahipnotyzowała mnie i gapiłem się nieprzytomnie przez dłuższą chwilę, aż Zośka poprosiła, żebym ją pocałował. Zrobiłem to i nagle poczułem, że żyję. No i zdobyłem się na śmiałość, zaprosiłem ją na herbatę do mojej nory w Shadwell, a ona zgodziła się i parę chwil później pozwoliła mi się przekonać, dlaczego to właśnie dla jej rodaczek mężczyźni wszystkich nacji od wieków tracili głowę i nie tylko.

A teraz rozanielony patrzę, jak śpi na moim materacu, i zachwyam się, że nawet we śnie nie straciła nic ze swojej perfekcji. Jej włosy rozrzucone na prześcieradle wyglądają pięknie, a usta wciąż wydymają się ponętnie. I myślę sobie, że powinienem w tej chwili zrobić jej zdjęcie i natychmiast wrzucić na Fejsbuka. Poprawiłbym sobie w ten sposób wątlą PR i sprawiłbym, że moi wrogowie, patrząc na to zdjęcie, udławiliby się sobotnim śniadaniem. Ale boję się, że to wszystko jest tylko moim urojeniem, że jak wyjdę zrobić kawę, to wrócę z jedną zbędną filiżanką, którą będę musiał wypić sam. Wracam z dwoma kubkami kawy, najlepszej, jaką udało mi się zrobić. Otwieram drzwi i zamieram, ale po sekundzie oddycham z ulgą. To, co brałem za urojenie i dobry sen, leży żywe i namacalne w moim barłogu.

– *Room service* – dowcipkuję topornie. – Czy pani zamawiała kawę?

Patrzę, jak zawstydzona naciąga kołdrę aż po sam koniec grzywki i prosi mnie, żebym pożyczył jej koszulkę. A ja wyciągam z szafy mojego najlepszego bena shermana, podaję jej i nieco rozbawiony posłusznie odwracam głowę, kiedy prosi mnie, żebym nie patrzył. Gapię się przez okno na gromadę pakistańskich gówniarzy, którzy jak zawsze siedzą przed blokiem, plując przed siebie i czekając nie wiadomo na co. Dzisiaj robią to jednak w promieniach tak rzadkiego w tym mieście słońca, przez co patrzę na nich z większą niż zwykle życzliwością. W końcu muśnięciem w policzek dostaję pozwolenie na odwrócenie głowy i znów zachwyam się,

widząc, jak jej paź wrócił do absolutnego porządku, rozsypując się łukiem na centymetr od brwi, jak usta przetrwały noc w doskonałej formie, a moja paradna koszula wygląda na niej jak tartanowa sukienka – może nieco zbyt obszerna, ale wystarczająco krótka, by dokładnie pokazać nogi.

– Wybacz, kochanie – mówi Zośka. – Wyglądam koszmarnie.

Już mam się rzucać do zaprzeczeń i komplementów, ale reflektuję się w ostatniej chwili. Wczorajszy sukces dodaje mi pewności siebie, każe grać *cool*. Odpowiadam, że na mój gust wygląda całkiem nieźle, podchodzę bliżej i całuję ją w czoło, idealnie trafiając w niewielki odsłonięty fragment między wycięciem grzywki a brwiami.

Chłopaki zabrali gitary i w umówioną marcową sobotę pojechaliliśmy do Żywca. Na dzień dobry wypiliśmy parę piw. W tym mieście był to towar nieco mniej deficytowy, bowiem mieścić się tam najslynniejszy w moim kraju browar, którego produkty można teraz kupić na całym świecie. W tamtym jednak czasie dostępne były głównie na miejscu, więc wypiliśmy po dwie butelki na łeb, a Gwoździu nawet trzy. Dokupiliśmy jeszcze kilka plus dwa wina, wsiedliśmy do pekaesu i ruszyliśmy w dwudziestominutową drogę do wioski, w której miał odbyć się koncert. Gwoździu po całym tym piwie sikał do pustej butelki, z czego mieliśmy niezły ubaw.

W umówionym miejscu oprócz szczekających dupami psów czekał na nas Jogi, kumpel Cezara i organizator koncertu. Poprowadził nas kawałek przez las, było ciemno i ktoś zażartował, że teraz niedźwiedzie wtrząchną nas na kolację. W końcu doszliśmy do stojącej przy drodze starej gospody, zamkniętej z powodu przeciągającego się remontu. Położona na zupełnym odludziu, zaopatrzona była w prąd, wystarczyło więc tylko wymienić kłódki na własne i otworzyć punkowy klub. W tajemnicy, z dala od Babilonu i jego piesków. Jogi

zagwizdał na palcach i ktoś otworzył tylne wejście i wpuścił nas do środka, gdzie pod ścianami siedziały już grupy punków. Przeważnie okolicznych załogantów, zwalistych chłopów w skórach.

Gromnica, jak przystało na kultowy zespół, którego nikt nigdy nie widział na żywo, nie dojechała i zostaliśmy tylko my i Droga Krzyżowa, z Jogim na basie. W ostatniej chwili chłopaki wpadli na pomysł, żeby zagrać dodatkowy set z coverami ulubionych zespołów z Anglii. W ten sposób na szybko powstała Jagodzianka Na Kościach. Zaśpiewać miał z nimi niejaki Ziutek – kumpel Jogiego, który przyjechał na ten koncert aż z dalekiej Łodzi.

Miejsce nazwano Willa Sham, na cześć ulubionej kapeli. Za cały sprzęt robiły dwa eltrony i sypiąca się perkusja, pożyczone za flaszkę z remizy. Koncert zorganizowano w dniu ważnego meczu polskiej reprezentacji, kiedy wszyscy siedzieli w domach i ryzyko, że ktoś się tu przyszwenda i zawiadomi milicję, było nieduże. Obowiązywała pełna konspiracja – pod groźbą dostania w mordę nie wolno było wychodzić z budynku. Wracać do Żywca mieliśmy w małych grupkach, a w wypadku spotkania z milicją tłumaczyć, że wracamy z górskiej wycieczki.

Kowalski i ja byliśmy zachwyceni. Zwierzak narzekał, że śmierdzi, nie ma sceny, a perkusja chujowa. W dodatku ktoś go podobno zdążył już zwyzywać od metalowców. Z kolei Żuraw jak zawsze myślami był gdzie indziej, najprawdopodobniej na boisku do kosza. Próby dźwięku nie przewidziano, usiedliśmy więc z boku i wypiliśmy jeszcze po butelce żywieckiego piwa. W końcu Droga Krzyżowa podpięła się do wzmacniaczy i ruszyło takie pogo, jakby to grała TZN Xenna albo inna uznana warszawska kapela. Chłopaki hałasowali z przytupem – chujowo, ale bojowo, jak się wtedy mawiało. A tak dobrych chórków nie słyszałem wcześniej w żadnym polskim zespole. Wokalista Kolargol śpiewał twardo, ale trzymał melodię. Jogi wchodził równo w refreny i dodawał melodyjne „aaa” albo rytualne „oi, oi”. Twardy góralski lud wielbił ich za teksty, które opowiadały o ciężkim życiu i jedynym lekarstwie na troski codzienności – piwie z browaru w ich rodzinnym mieście. Wielkie, zwaliste chłopcy pogowały ostro do tej muzyki, i wraz z Kowalskim i Gwoździem też włączyliśmy się do zabawy. Objaliśmy się o cielska tubylców i razem z nimi wznosiliśmy w górę pięści, krzycząc „oi, oi!”.

Kiedy przyszła nasza kolej, mieliśmy duże obawy, czy damy radę podtrzymać nastrój. Ale gdy tylko chłopaki podpięli gitary i z eltronów rozległy się atonalne piski, wyluzowany za

sprawą tutejszego piwa walnąłem przez mikrofon nawiedzoną gadkę o tym, że nie obchodzi nas gówno, które wtłaczają nam do głów, nie potrzebujemy ich kultury i sami tworzymy własną. Kiedy skończyłem, publika odpowiedziała chórem „oi, oi!”. Jako pierwszy zagraliśmy szybki kawałek *Nowa era*. Precyzyjne Zwierzakowe rytmy ginęły w rżeniach i piskach eltronów i brzmiało to fatalnie, ale zarazem było w tym tyle energii, że knajpa zaczęła wibrować i punkowcy znów ruszyli w pogo. Potem poleciała nasza przeróbka *The Day The Country Died* Subhumansów, z polskim tekstem napisanym przeze mnie na bazie maszynopisów od Cezara. Mimo sprzężeń i pisków wzmacniacza słyszałem, jak pogujący powtarzali za mną, że rząd to gówno i że trzeba walczyć. Następny był szybki kawałek z tekstem poety Wojaczka: „Żeby mi tylko dali spokój i wytchnienie od wieców, rewolucyj i bomb atomowych”, i pogujący o mało nie roznieśli pomieszczenia. Tak samo było przy następnym, zatytułowanym *Telewizyjnie rozmiękczone mózgi*, i przy *Armii*, naszej wersji kawałka zespołu Rejestracja. Jogi wdarł się na scenę i ryczał wraz ze mną do mikrofonu: „Nie, nie, nie. Nie wezmę karabinu!”. Na koniec walnęliśmy sztandarowych *Chłopaków z załogi*, których znów śpiewałem z zamkniętymi oczami, i kiedy po refrenie je otworzyłem, zobaczyłem kłębowisko ludzkich ciał. Tak jakby nagle przestała tu działać grawitacja. Tłum w skórzanych kurtkach kotłował się w pośrodku sali, lżejsze ciała fruwały w powietrzu. Kowalski był tak nabuzowany tym widokiem, że razem ze mną zaśpiewał refren. I ani razu się nie zająknął!

Kiedy skończyliśmy, Jogi położył swoją ciężką łapę na moim ramieniu i oznajmił, że hanysy pierońskie mają grać dalej, bo ich stąd załoga żywych nie wypuści. Zażyczył sobie raz jeszcze *Chłopaków...*, a my chętnie spełniliśmy jego prośbę. Hłasko i Gwoździu stali z boku i kiwali głowami, a w refrenie wznosili do góry pięści, dumni, że przyjechali tutaj z tak dobrą kapelą.

Gdy wreszcie zeszliśmy ze sceny, załoganci podchodzili do nas, chwalili naszą muzykę, klepali po plecach i częstowali tanim winem. Byłem pijany nim i żywieckim piwem, ale przede wszystkim szczęściem. Jeszcze niedawno wyczekiwałem przy radiu z bijącym sercem na jakikolwiek punkowy kawałek, a teraz sam grałem w zespole, ludzie słuchali moich tekstów i czułem, że wnoszę coś dobrego do ich monotonnego i smutnego żywota.

I właśnie wtedy w drzwiach pojawił się Zwierzak. Krew z rozkwaszonego nosa kapłała mu prosto na koszulkę Iron Maiden.

– Chuje, kurwa, chuje! – wrzeszczał. – Punki, chuje jebane, kurwa! Wpierdolili mi! Idźcie w chuj! Wszyscy! W chuj! Zapomnijcie o kapeli, kurwa! Wypierdalam stąd!

Po tygodniu słodkiego nieróbstwa wsiedliśmy do pociągu jadącego do Jarocina, niewielkiego miasta w zachodniej Polsce. Mówiono, że jest to stolica polskiego rocka, ponieważ co roku władze organizowały tam festiwal, na który zjeżdżali się odmieńcy z całego kraju. Tu mogli obnosić się ze swoimi dziwnymi fryzurami i potrząsać nimi do dźwięków granej przez młode zespoły muzyki. Historycy i socjologowie twierdzą dzisiaj, że przez ten tydzień młodzi ludzie czuli się tu wolni. Na czym polegała ta wolność? Na tym, że można było posłuchać zespołów zaakceptowanych przez dyrektora festiwalu, dowiedzieć się, co jest modne w większych miastach, spróbować pierwszych narkotyków i stracić dziewictwo.

Niektórzy kręcili na Jarocin nosem, ale i tak jeździli tam rok w rok, choć był to tydzień spędzony w wyjątkowym syfie, bez możliwości umycia się, na diecie składającej się tylko z bułek i mleka. O tanim winie można było co najwyżej pomarzyć – w całej okolicy wprowadzono prohibicję. Muzyka rekompensowała jednak wszystkie te niedostatki.

Byłem tam dotąd tylko raz, rok wcześniej, kiedy w tajemnicy przed starszymi wybrałem się na dzień punkowy. Gwoździu jeździł tam od 1983 roku i dużo lepiej orientował się, co i jak. Dogadał się kiedyś z panem Gustawem, emerytem mieszkającym w małym domku na obrzeżach miasta, który z dobrego serca udostępnił dziwakom miejsce na namioty, wodę ze studni i drewniany kibelek na podwórku. Warunki wręcz komfortowe, bo zwykli śmiertelnicy musieli płacić za miejsce na ściernisku, gdzie organizatorzy zrobili oficjalne pole namiotowe. Gwoździu dbał o zachowanie tego miejsca, wysyłając do pana Gustawa kartki na Boże

Narodzenie i Wielkanoc. Gospodarz i jego rodzina byli bowiem ludźmi bogobojnymi i udostępniali swoje pole tylko gościom wyznania katolickiego.

Przywitaliśmy pana Gustawa gromkim „Szczęść Boże” i po krótkiej pogawędce rozbiliśmy namioty, a chwilę później byliśmy już na mieście. Wmieszani w tłum śmiesznie poprzebie-ranych na ten tygodniowy karnawał dzieciaków doszliśmy do rynku, gdzie moje serce zaczęło walić równie szybko jak perkusja na płycie Discharge. Z daleka dostrzegłem pannę z zielonymi włosami!

Dziewczyny, jak się okazało, przyjechały późniejszym pociągiem i próbowały nas odszukać, słusznie dedukując, że najlepiej zacząć od rynku. Wypaliliśmy po papierosie i zabraliśmy je do naszego obozowiska. Jak na punkowych dżentelmenów przystało, ponieśliśmy ich namiot i pomogliśmy go rozbić, zaproponowawszy poczęstunek przywiezionym winem. Panny oznajmiły, że chcą się trochę przespać, ale za to wieczorem zapraszają nas na coś ekstra. Poszliśmy z Gwoździem znów połączyć się na mieście i poszukać znajomych, a kiedy wróciliśmy, wyspane punkietki relaksowały się już na kocykach przed namiotem.

– No to czas na coś ekstra – zaśmiała się Paszczak. Wyciągnęła z torebki czarne, plastikowe pudełeczko po filmie do aparatu fotograficznego. – Grass z Kluczborka, polskiego Kingston. Najlepszy!

Sprawnie nabiła szklaną lufkę, zaciągnęła się fachowo i podała dalej. Kiedy przyszła moja kolej, też wciągnąłem gryzący dym i przetrzymałem go chwilę w płucach. Zakaszlałem, myśląc, że to pewnie jakiś przereklamowany towar, aż tu nagle cały świat dziwnie złagodniał, uśmiechnął się i spowolnił. Z Grundiga sączyło się reggae, a my siedzieliśmy w ciszy, którą sporadycznie przerywały napady głupawego śmiechu. Czas i świat niewiele nas obchodziły.

W tym błogim otępieniu poczułem rękę na swoich włosach, a chwilę później język lizał moje ucho i oto już całowałem się z dziewczyną, chyba po raz pierwszy jak należy. W dodatku z piękną Mirellą.

– Ale ty słodki jesteś, misiu – powiedziała i znów zaczęliśmy się całować. Potem zaciągnęła mnie za rękę do swojego namiotu i tam po raz pierwszy pokazała mi to, co w życiu najpiękniejsze.

Obudziłem się przytulony do dziewczyny, która jeszcze do niedawna była obiektem moich westchnień. Przetarłem z niedowierzaniem oczy i wyszedłem odlać się pod drzewko. Byłem szczęśliwy, a moje nastoletnie serce waliło z całej mocy. Jak na skrzydłach pobiegłem do spożywczaka, odstałem swoje w kolejce i zdobyłem jogurt i chałkę. Prawdziwie luksusowe artykuły na śniadanie dla mojej punkowej królowej, Mirelli.



WYDAW
NICTWO

WWW.WYDAWNICTWOJ.PL